

Joanna Bąk

część II z II

Sygnatura notacji: **N0162**

Data urodzenia: **28.05.1958 r.**

Data nagrania: **09.05.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **część I: 47 min, część II: 39 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, czy ktoś z tej rodziny, która mieszkała w tym domu, przede wszystkim chodzi mi o dziadków, był związany pośrednio lub bezpośrednio z konspiracją?

Joanna Jolanta Bąk: To znaczy nie, nie. I ja myślę, że to też jeżeli chodzi o babcię. Babcia była pielęgniarką, więc to, co babcia robiła, to na ile pomagała jakimś osobom. Babcia raczej na ten temat nie mówiła, chociaż miała takie typowe podejście. Osoby z takim przygotowaniem, z takim wykształceniem, że zawsze jeżeli ktoś się pojawiał z prośbą o pomoc, to babcia natychmiast to robiła. Dziadek z tego co ja wiem, to nie. Ja myślę, że była to świadoma decyzja, żeby nie narażać dodatkowo tej najbliższej rodziny.

Konrad Starczewski: Natomiast kto przebywał w tej kryjówce?

Joanna Jolanta Bąk: To znaczy my wiemy, że o tej kryjówce wiedzieli i wiedziały jakieś tam osoby z partyzantki. Natomiast innych szczegółów nie znamy. I ja myślę, że też babcia z dziadkiem nie chcieli wiedzieć, że ja byłam w tym miejscu, czyli w tej stodole. Ja mówię, jeżeli nie przesadzam, no bo jednak część dzieciństwa, znaczy wakacje spędzałam u babci i część wyjeżdżaliśmy, wyjeżdżałam gdzieś z rodzicami, ale jednak do tej stodoły chodziłam. No nie wiem, tak jak dziecko, z ciekawości.

Konrad Starczewski: To była stodoła oddalona od domu o kilkanaście metrów?

Joanna Jolanta Bąk: Tak, tak, czy nawet kilkadziesiąt, bo ona była po drugiej. To była... Moi dziadkowie przez to, że nie byli rolnikami, to ta Stodoła była typowo użytkowa, czyli były narzędzia do ogrodu, drewno do pieców, bo domu były piece kaflowe i węgiel. I to była jedyna funkcja, znaczy jedyne funkcje tej stodoły. Nie było żadnego zboża innych. To znaczy była ta kryjówka. Czy to miejsce może w ten sposób powiem, powstało prawdopodobnie jako miejsce przechowywania kartofli w czasie wojny, przepraszam, w czasie zimy, w czasie zimy czy nie wiem, czy marchwi, czy innych warzyw, czy jabłek, bo u nas było bardzo dużo drzew owocowych. Tak jak wspominałam chyba 23 drzewa były i w związku z tym taki schowek pod stodołą był idealnym miejscem na przechowywanie produktów w czasie jesieni czy zimy, czy wiosny. Dziadkowie prawdopodobnie otrzymywali te ziemniaki czy kupowali od kogoś i właśnie chowali w tym miejscu. Ja mówię to są moje przypuszczenia, bo to miejsce istniało prawdopodobnie od tego czasu, kiedy powstała stodoła. Był to jakby otwór, dół wykopany pod podłogą, że tak powiem. To znaczy było też, jest taki otwór przy stodole. Czyli jak ktoś tam przywoził ziemniaki, to można było zamiast wchodzić do stodoły, to można było przez ten mały otwór wsypać te ziemniaki do tego pomieszczenia. Pod posadzką stodoły. Czyli takie miejsce przechowywania ziemniaków, warzyw, jabłek. I ja myślę, że po to, żeby właśnie znaleźć w miarę bezpieczne miejsce dla pana Mosze w sytuacji zagrożenia całej rodziny, w momencie kiedy rodzina ucieka gdzieś tam w pole i nie może pana Mosze zabrać ze sobą, to chodziło o to, żeby w miarę blisko było jakieś miejsce, gdzie pan Mosze może się ukryć. Bo trudno, żeby w momencie nadejścia bombardowań czy przechodzenia jakichś oddziałów niemieckich, żeby pan Mosze zostawał w domu sam, a rodzina żeby uciekała. Więc myślę, że stąd powstała ta idea.

Konrad Starczewski: Czy wcześniej, przed przyjściem pana Mosze, ukrywali się tam, ukrywały się tam osoby, które szmuglowały jedzenie do Warszawy?

Joanna Jolanta Bąk: Tego nie wiem, ale być może właśnie już wcześniej jakby to miejsce było wykorzystywane, czyli przed 1942 rokiem tylko wtedy na inny cel, jakby po to, żeby pomóc innym osobom. Moja babcia, jak zaczynała się rozmowa na temat pana Mosze, to babcia zawsze mówiła jedno zdanie: „Najważniejsze, że pan Mosze przeżył”.

Konrad Starczewski: I to było jakby pytanie, bo ktoś czasami pytał czy jesteście w kontakcie, czy pan Mosze jest z wami w kontakcie?

Joanna Jolanta Bąk: Babcia w ogóle ucinała, ten temat i mówiła „Najważniejsze, że przeżył”. Być może jeździli do getta, ale ja nie mam na ten temat wiedzy, więc nie mogę tego powiedzieć. Ponieważ pan Mosze stracił całą rodzinę tuż po wojnie, jakby starał się odnaleźć w Otwocku, ale było to dla niego bardzo trudne, bardzo bolesne dlatego, że według jego wiedzy i według wiedzy, którą posiadała babcia i dziadek, nikt z jego rodziny nie przeżył i dlatego postanowił przenieść się do Łodzi. I zamieszkał w Łodzi chyba do 1957 roku. Tak jak tu jest napisane w tej relacji chyba do 1957 roku. Poznał swoją drugą żonę Leę, która miała na imię Lea i z Leą miał dwoje dzieci, córkę i syna. I później w 1953 r. państwo Bajtel wyemigrowali do Izraela i to znaczy to było, szukali nowego życia. Jakby po to, żeby zostawić wszystkie te najtrudniejsze doświadczenia wojenne za sobą. Postanowili wyjechać do Izraela. Ale w Izraelu była bardzo trudna sytuacja, bo to jeszcze były te lata, kiedy osoby, które przeżyły Holokaust nie były w pełni doceniane. Można tak powiedzieć. Czy też nie było takiej opieki roztoczonej nad tymi osobami i nie zdawano sobie może w pełni sprawy przez co te osoby przeszły. I jedną z takich najtrudniejszych rzeczy, z którą pan Mosze się

zmierzył to to, że chciano go powołać do wojska. Bo wiadomo, że wtedy była budowana armia izraelska i zależało wszystkim na tym, żeby jak najwięcej żołnierzy do armii wstąpiło. Natomiast jego traumatyczne, skrajnie traumatyczne przeżycia były tak wstrząsające i takie piętno na nim wywarły, że on w ogóle sobie nie wyobraził. Nie wyobrażał sobie, że można być żołnierzem, strzelać do kogoś czy... Samo pojęcie bycia żołnierzem było dla niego tragiczne i traumatyczne. Dlatego podjęła rodzina decyzję przeniesienia się do Niemiec. I może to wzbudzić pytanie – dlaczego? Dlaczego rodzina, która doznała tych największych cierpień od Niemców decyduje się przenieść właśnie do Niemiec. Rodzina razem z panem Mosze. Czyli pan Mosze, żona i dwoje dzieci. Co może spowodować? Co? Co kierowało Niemcami w tym okresie bezpośrednim, powojennym, prawie bezpośrednim, żeby przekonać osoby, które przeżyły Holokaust do przeniesienia się do Niemiec albo do pozostania, bo wiadomo, że były te tereny. Były to obozy przejściowe tuż po wojnie, gdzie właśnie Żydzi, którzy przeżyli Holokaust, też byli. Stacjonowali w Niemczech, powiedzmy przez jakiś czas, zanim wyjechali do Stanów czy do Kanady, czy do Wielkiej Brytanii, czy do Ameryki Południowej. Bo właśnie rodzice tej mojej przyjaciółki ze Stanów Zjednoczonych, ona, nawet ona została poczęta w Niemczech, ale przed wyjazdem rodziców do Stanów Zjednoczonych. Skala Holokaustu. Wiemy, że zostało zamordowanych blisko 6 milionów Żydów. I to, jaka była sytuacja w Niemczech przed wojną. Ideologia Trzeciej Rzeszy. Ale jednocześnie wydaje mi się, że trzeba wrócić do sytuacji społeczności żydowskiej w Niemczech czy w Trzeciej Rzeszy przed wybuchem wojny, ale przed nastaniem ideologii, ideologii eksterminacji Żydów. W Niemczech czy w Trzeciej Rzeszy było, co wydaje mi się, że jest za mało Podkreślane, przed wybuchem wojny. Ja nie pamiętam dokładnie jaka była liczebnie populacja Niemiec, ale prawdopodobnie to było gdzieś dwa razy więcej niż w Polsce, prawie – powiedzmy 60 milionów. To było przed aneksją Austrii. Czyli na 60 milionów powiedzmy, mogę się trochę mylić, na 60 milionów Niemców było tylko 510 tysięcy społeczności żydowskiej. Podczas kiedy w Polsce na prawie ok. 35 mln Polaków było – wiemy ile Żydów. Inna proporcja Inna proporcja. I wydaje mi się, że – ja nie wiem – powtórzę się, ale za mało się o tym mówi. Jakby Niemcom zależało tylko na specyficznej grupie społeczności żydowskiej przed wojną, że już wtedy, chociaż nie jest to może poprawne politycznie, że już wtedy Niemcy dokonywali selekcji w cudzośćwie. Dlatego, że oni chcieli mieć tę część społeczeństwa żydowskiego, które się asymilowało chętnie, ludzi wykształconych. Ludzi, którzy chcieli czuć się Niemcami. Natomiast w Polsce był przekrój społeczeństwa żydowskiego. Bo byli i ci, którzy chcieli się asymilować, ci, którzy nie chcieli się asymilować, ci, którzy tylko znali język jidysz i raczej woleli pozostać przy swojej tożsamości. I jakby nasza kultura, liczby gazet, które wychodziły w języku jidysz i teatry. I kultura jidysz, która się rozwijała na terenie Drugiej Rzeczypospolitej, jakby też umożliwiała pobyt znakomicie ogromnej liczbie społeczeństwa żydowskiego, nieporównywalnie do tych, którzy byli na terenie Niemiec. W związku z tym, jeżeli po wojnie Niemcy albo zabili, albo jeszcze wiadomo. Przed wybuchem wojny część Żydów wyjechała. Czy do Wielkiej Brytanii, czy do Stanów Zjednoczonych, wiadomo, że ze Stanami Zjednoczonymi też były problemy. Stany Zjednoczone zawróciły statek z Żydami, którzy próbowali uciec z Europy, czy też mieli możliwość innego wyjazdu do Ameryki Południowej. Więc Niemcy za wszelką cenę starali się przekonać osoby, które przeżyły Holokaust, żeby do nich się przenieśli, stwarzając bardzo dobre warunki finansowe. Żeby tylko ta społeczność żydowska była. Żeby tylko nie mówić o Trzeciej Rzeszy czy o Niemczech, które powstały po drugiej wojnie światowej, że jest to kraj, w którym nie ma, nie żyją w ogóle, nie ma w ogóle społeczności żydowskiej, bo to by stanowiło dramatyczne świadectwo tego, co Niemcy zrobili w czasie drugiej wojny światowej. I stąd decyzja rodziny o przeniesieniu się do Niemiec. Z tym, że córka, potem córka państwa Bajłłów wyemigrowała, jakby dla niej to było zbyt trudne i wyemigrowała i mieszka we Francji obecnie.

Konrad Starczewski: Proszę powiedzieć, jakie były losy pani rodziny, mamy, dziadków? Co się działo z nimi po wojnie? Jak ta historia była obecna w tej rodzinie?

Joanna Jolanta Bąk: To znaczy dopóki pan Mosze był, mieszkał w Łodzi, to był w kontakcie z babcią i z dziadkiem. Natomiast w momencie, kiedy wyemigrowali do Izraela, to ten kontakt się zerwał. Również ze względu na sytuację relacji pomiędzy Polską a Izraelem. Był okres, kiedy nie było kontaktów dyplomatycznych. Te kontakty zostały zerwane, listy niekoniecznie dochodziły. Jakby nie było to wskazane, żeby mieć kontakty i w związku z tym tego kontaktu nie było. My wiemy, że pan Mosze przyjechał ze swoim synem raz z Izraela. I przyjechał wtedy do Otwocka, do babci i do dziadka. Z tym, że akurat wtedy nikogo w domu nie było. Babcia i dziadek dowiedzieli się od sąsiadów, że przyjechało dwóch mężczyzn, którym bardzo zależało na tym, żeby skontaktować się z nimi, ale nie zostawili adresu. Być może też bali się, nie wiadomo. I później, dopiero po mojej sytuacji osobistej, w jakiej ja się znalazłam, to moja mama postanowiła jednak odszukać rodzinę. To znaczy miała nadzieję, że jeszcze pan Mosze żyje i postanowiła odszukać pana Mosze.

Konrad Starczewski: I zwróciła się do Żydowskiego Instytutu Historycznego z pytaniem jak my możemy poszukać pana Mosze?

Joanna Jolanta Bąk: Bo mama nie wiedziała gdzie są, gdzie mieszkają. I pani Krystyna Tokarczuk z Żydowskiego Instytutu Historycznego okazała się osobą bardzo pomocną, jakby przeżywała też tę historię babci i dziadka i mamy, i rodziny. I mama kilka razy z panią Krystyną się spotkała i właśnie pani Krystyna zasugerowała, że powinny zostać umieszczone ogłoszenia w polskojęzycznych gazetach w Izraelu, dlatego że to pokolenie, które wyjechało z Polski, jednak starało się utrzymać chociaż na odległość kontakt z Polską poprzez czytanie polskich gazet. Akurat nam dopisało szczęście. Ja mówię dopisało szczęście, że kupowała polskie gazety mama przyjaciółki, rodziny Bajtłów. Przeczytała ogłoszenie, nie wiedziała, bo to było krótkie ogłoszenie na zasadzie, że poszukuje, poszukuje pana... Ja nawet nie znam treści tego ogłoszenia. Musiałabym pana Lajbo się zapytać czyli syna. I zadzwoniła natychmiast do Niemiec. Do rodziny Bajtel. Powiedziała, że właśnie w gazecie w Izraelu znalazła w polskiej gazecie ogłoszenie na temat na temat tego, że ktoś poszukuje rodziny Bajtel. I pewnego dnia zadzwonił telefon. I zadzwonił syn pana Mosze. I stąd się zaczęła cała historia. A gdybyśmy mogli to na osi czasu jakoś umieścić. Czyli rok 2000, prawdopodobnie 2000. Tak myślę. czyli po wielu latach. Bo to było. Bo ja. Tak, tak, tak, bo ja powiem skąd moja mama, bo to był absolutnie pomysł mojej mamy. Ja ze względu na specyfikę moich zainteresowań zawodowych. Starałam się, tzn. szukałam możliwości studiowania mojego kierunku wymarzonego, bo w Polsce nie mogłam tego zrobić. I poprzez Wielką Brytanię dowiedziałam się o tym, że istnieją studia w Stanach Zjednoczonych. I pomyślałam, że bardzo bym chciała studiować w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście było to bardzo dalekosiężne marzenie. W tamtych czasach moi rodzice byli w określonej sytuacji takiej typu nie mogliśmy mieć rekomendacji od ówczesnych władz. Powiedzmy delikatnie. I moja babcia postanowiła ze swojej skromnej emerytury kupić mi bilet do Stanów. Do Nowego Jorku, żebym poleciała i zobaczyła. I mieliśmy... Mogę powiedzieć mieliśmy przyjaciół też, więc miałam się gdzie zatrzymać i polecałam do Nowego Jorku. Poszłam na uczelnię, powiedziałam, że jestem z Polski. Oczywiście wywołałam szok wtedy i że bardzo bym chciała studiować w Stanach. Zaczęli ze mną rozmawiać, czyli przesłam taką rozmowę kwalifikacyjną. Pytali się, skąd pomysł studiowania takiego kierunku jak psychologia architektury, bo to było moje

marzenie. Dlatego nie mogłam studiować w Warszawie czy w Polsce, bo u nas takiego kierunku nie było. Czyli przeszłam taką rozmowę kwalifikacyjną. No i później już wróciłam do Polski i bardzo długo nie miałam odpowiedzi z uczelni, bo ja powiedziałam, że moich rodziców czy nas nie jest stać, żeby opłacić studia. To było absolutnie szaleństwem. Nas nie było stać. A to były studia płatne. Wprawdzie nieporównywalnie niższe, bo to był Uniwersytet Miejski Nowego Jorku, ale mimo wszystko w momencie skromnych pensji, jakie wtedy większość Polaków miała, graniczyło to, po prostu było to niemożliwe. I po wielu miesiącach przyszedł telegram, że z uczelni – który mam do dzisiaj – że zostało mi przyznane stypendium z uczelni amerykańskiej i połowa, to znaczy stypendium, które ja miałam odpracować. Nie tak, że dostawałam pieniądze, tylko musiałam trzy dni studiować, dwa dni odpracować w miejscu wskazanym przez uczelnię i częściową, czyli 50% zniżki na opłatę za studia. Czyli z tego stypendium, które otrzymałam, to musiałam opłacić drugie 50% za uczelnię i jeszcze się utrzymać. I wtedy to były jeszcze takie czasy, kiedy nie mieliśmy paszportów w domu. Więc chciałam też być w porządku wobec tej sytuacji, która była, czyli czasy de facto komunistyczne. I napisałam takie podanie, do którego dołączyłam zaświadczenie z uczelni, że uczelnia potwierdza otrzymanie przeze mnie stypendium, bo ja chciałam móc wyjechać na cały okres studiów, a wtedy wiadomo było, że my mogliśmy mieć tylko paszport na jednorazowe wyjazdy i potem jak wracaliśmy z zagranicy, musieliśmy paszport zdać do biura paszportowego i ponownie się starać o przyznanie paszportu. I dlatego ja napisałam tzn. uczelnia napisała, i do biura paszportowego i do ministerstwa. Nie pamiętam jak się nazywało wtedy Ministerstwo Wyższej Edukacji. Nie pamiętam. Mam ten dokument w każdym bądź razie do dzisiaj. I otrzymałam odpowiedź oficjalną, że nie może mnie ministerstwo delegować na wyjazd służbowy. Chyba to tak było określone, czyli nie przysługuje... Nie było zgody na to, żebym miała paszport służbowy, tylko mogłam wyjechać na zasadzie takiej jak turyści, czyli mogłam wyjechać, zgłosić, że wyjeżdżam na rok akademicki i potem wrócić i ponownie starać się o wyjazd. I powiem tylko jedną taką ciekawą sytuację, jaka się wydarzyła, że w momencie, ponieważ nie chciałam, żeby rodzina miała, moi rodzice mieli jakiegokolwiek problemy, to wróciłam oczywiście po 1 roku, poszłam do biura paszportowego na Kruczej, żeby złożyć dokumenty potwierdzające znowu otrzymanie stypendium z uczelni amerykańskiej na kolejny rok studiów. I zazwyczaj się czekało, w okresie wakacyjnym wiadomo było, że się czeka więcej. Przeważnie był to miesiąc czy półtora miesiąca. I ponieważ nie miałam informacji, więc się zgłosiłam do biura i powiedziano mi, że moje stypendium zostało już przeznaczone dla kogoś innego. I ja nie lecę do Stanów. I zapytałam się dlaczego? I wtedy usłyszałam, że ja jestem nikim. Ze względu na to, że moi rodzice byli przeciętną polską rodziną, która nie zasłużyła się władzom ówczesnym. Władze paszportowe zdecydowały, że moje imienne stypendium zostało przeznaczone dla kogoś, kto bardziej na nie zasługiwał. No i oczywiście wróciłam zrozpaczona do domu, zapłakana. No i mama mówi: „Słuchaj, trzeba zamówić rozmowę do Stanów”, bo wtedy też się nie dzwoniło, tylko zamawiało i się siedziało w domu i czekało na połączenie i tak czekaliśmy. Ja nie pamiętam już, ile czekaliśmy. Tyle, ile było potrzeba, aż pani połączyła nas ze Stanami. No i ja tylko powiedziałam mojemu opiekunowi naukowemu, mojemu w tej osobie, która nade mną czuwała, mówię „Słuchaj, ja nie przylatuję dlatego, że odebrano mi stypendium”. On mówi: „Jak to, kto ci odebrał stypendium?” Ja mu mówię: „Biuro paszportowe. Nie wiem kto, ale biuro paszportowe powiedziało mi, że jestem nikim i że nie lecę do Stanów, że stypendium zostało przekazane osobie, która bardziej na nie zasługiwała”. No i ten mój opiekun naukowy mówi: „Słuchaj, ale to jest imienne stypendium. To nie jest tak, że jeżeli Polska, polskie władze komunistyczne przekazują to komuś tam, jakiemuś dziecku osoby zasłużonej, to że my przyjmujemy tę osobę na studia. Bo to jest stypendium na Joannę Bąk. I tak jest we wszystkich dokumentach”. I ja mówię, „Ale ja paszportu już nie dostanę”. No i wtedy zostało napisane pismo kolejne z uczelni

w Nowym Jorku do naszego biura paszportowego, że jeżeli to stypendium do mnie, że to jest imienne stypendium i nikt, uczelnia nikogo innego na moje miejsce nie przyjmie. I że jeżeli to stypendium do mnie nie wróci, to po prostu nikt więcej z Polski na ten wydział nie zostanie przyjęty. No i dopiero wtedy otrzymałam paszport. Ale oczywiście wiadomo, że to wszystko trwało, bo ten list musiał przejść kolejny, nie wiem wtedy... Tak, ale nie, przede wszystkim list ze Stanów do Polski. Ocenzurowany list, poczta lotnicza, która miesiąc... Czyli ja przyleciałam do Stanów chyba z miesięcznym opóźnieniem. Ale już od tego momentu nie miałam problemu z paszportem. Ale muszę powiedzieć, że co roku wracałam. Nigdy nie było tak, że zostałam w Stanach. Tylko co roku wracałam. Oddawałam paszport, składałam dokumenty o kolejny paszport i z tego się wywiązywałam. Na studiach poznałam, tylko na innym wydziale, studiowała osoba, którą poznałam dzięki naszemu wspólnemu znajomemu. On przyszedł do mnie, bo z kolei to był jej chłopak, ówczesny i jednocześnie, który studiował na moim kierunku. I on przyszedł do mnie i mówi: „Asia, musisz poznać pewną dziewczynę. Musisz poznać moją dziewczynę”. No więc ja pomyślałam „Dobrze, ale dlaczego?” Dlatego, że jej rodzice przeżyli Auschwitz-Birkenau. Ja mówię: „dobrze”. I zaprowadził mnie do jej pokoju. I on potem z nas się śmiał dlatego, że mówił, że przedstawił tylko nas i stanął w drzwiach. Natomiast my od razu złapaliśmy taki niebywały kontakt, bo właśnie ze względu na to, że jej rodzice, wujek i ciocia przeżyli Auschwitz-Birkenau, to mialiśmy jakby niebywałą więź.

Konrad Starczewski: Ta więź się narodziła natychmiast. Jak się nazywała?

Joanna Jolanta Bąk: Iris Sroka. I właśnie jej chłopak powstał w drzwiach, on mówi pół godziny. Ale potem jak nas obserwował, jak my cały czas rozmawiałyśmy, to on stwierdził, że „właściwie to ja nie wiem, po co ja tutaj jestem” mówi. Zostawił nas i my tak jakby ta nasza pierwsza rozmowa trwała kilka godzin. I potem poznałam jej rodziców. Opowiadali mi, a potem, jak przylecieli do Polski. Opowiadali też moim rodzicom, jak to było, dlaczego oni przeżyli. Bo to jest też bardzo specyficzna sytuacja. Ale też oni przyjechali do Polski dopiero mniej więcej po 50 latach. I myślałam, że też dzięki namowom moich rodziców z kolei. I był przepiękny moment, znaczy dla nich ważny, bo przylecieli rodzice tej mojej koleżanki, czyli Rysio i Neli Sroka razem ze swoją córką, czyli z Iris i z jej synem, czyli ze swoim wnukiem Adamem Sroka. I pojechali do Auschwitz-Birkenau. Weszli trzymając się za ręce, zwiedzili i trzymając się za ręce wyszli. I powiedzieli, że to było dla nich najważniejsze doświadczenie życia. Dlatego, że oni, ich rodzina zdecydowali, kiedy z tego Auschwitz-Birkenau wyszli. Czyli były trzy pokolenia Sroków, jeżeli mogę tak powiedzieć. I oczywiście też mieli... Nawiązała się taka niebywała przyjaźń pomiędzy Nelli i Rysiem, i moim tatą, moją mamą i między mną i Iris, i jej mężem, i synem. I to już trwa. W tej chwili ich syn, czyli syn Iris i Leny, jest dorosłym mężczyzną i cały czas utrzymujemy kontakt. Czyli te ich doświadczenia z Auschwitz-Birkenau i to, że ja byłam z Polski, połączyły nas. No i później, ponieważ Iris i jej rodzice byli, oni byli w getcie w Litzmannstadt, czyli mieszkali przed wojną z terenów około łódzkich. I później byli na terenie Litzmannstadt. Z Litzmannstadt zostali wywiezieni do Auschwitz-Birkenau. Więc wydaje mi się, że to, że oni byli Żydami i to jak oni mnie wspierali w Stanach, bo potem był taki okres, kiedy ja u nich mieszkalam nawet. To spowodowało, że moja mama też chcąc odwdzińczyć im się za tę ich pomoc, którą ja doświadczyłam w Stanach Zjednoczonych, właśnie podjęła decyzję, żeby szukać kontaktu czy poszukiwać rodziny Bajtel. Więc zatoczone zostało koło jeżeli tak można powiedzieć, że najpierw moi dziadkowie, pradiadkowie i mama, i wujkowie pomogli panu Mosze Bajtel, a potem Iris i jej rodzina pomogli mnie, jak ja byłam w Stanach Zjednoczonych. I stąd to zainspirowało moją mamę, żeby napisać to ogłoszenie. I rodzina Bajtel, Leon czy Lajbo Bajtel odezwali się

do nas. I dzięki temu moi dziadkowie, babcia i dziadek, są uhonorowani medalem i dyplomem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Jesteśmy do tej pory w kontakcie z synem, z żoną. Ponieważ świat jest mały, to jeden z synów pana Lajbo jest w Nowym Jorku i też z nim się spotkałam. Byliśmy w Nowym Jorku w tym samym czasie, oczywiście nie wiedząc o sobie. Więc świat jest bardzo mały. Dla nas to, że pan Lajbo Bajtel razem ze swoją żoną Sarą i właśnie z córką tej pani, która przeczytała to ogłoszenie, przylecieli do Polski na moment na tę uroczystość wręczenia dyplomu i medalu z Instytutu Yad Vashem miało dla nas ogromne znaczenie. Bo to jest, to jest tak symboliczny przekaz, że jednak w tym najważniejszym, w tym najważniejszym momencie uhonorowania tym odznaczeniem, że ci, którzy urodzili się dzięki temu, że babcia i dziadek zdecydowali się przyjąć pana Mosze do siebie, do domu, bo pan Lajbo urodził się już po Wojnie, było dla moich rodziców i dla mnie szalenie ważne i naprawdę ogromnie wzruszające. I chciałam pokazać zdjęcie Cypii, czyli właśnie córki tej pani, która znalazła to ogłoszenie i dzięki której my się odnaleźliśmy. Bo gdyby nie mama Cypii, to my byśmy się nigdy nie spotkali. To jest właśnie pokazane jak Cypi właśnie w momencie, kiedy czyta, kiedy czyta to, co zostało napisane przez syna uratowanego jego żonę i panią Cypii. Tu jest zdjęcie dyplomu babci i dziadka. To już jest po uroczystości z dyplomem, z medalem na którym widać moich rodziców. Mama odbierała medal i dyplom z Yad Vashem i Cypi jest, syn pana Mosze z małżonką, czyli z Sarą.

Konrad Starczewski: W którym miejscu są pani rodzice?

Joanna Jolanta Bąk: To jest moja mama tutaj w białej bluzce i tata jest tutaj.

Konrad Starczewski: A pani też tu jest?

Joanna Jolanta Bąk: Tak, ja jestem tutaj. Mama trzyma medal, a ja trzymam dyplom. I tu jest Sara, czyli tu jest żona pana Lajbo. To jest pan Lajbo, czyli syn pana Mosze, a to jest Cypi, czyli córka tej pani, która odnalazła, przeczytała ogłoszenie. Nie odnalazła, tylko przeczytała.